Kryzys szansą powrotu do

Z o. Wojciechem Kowalskim, jezuitą, duszpasterzem młodzieży, autorem książki „Ukształtowany”, rozmawiała Lucyna Słup.

Kryzys kojarzy się nam z czymś trudnym, nieraz niezwykle trudnym, z bolesnymi, a czasem wręcz tragicznymi, przeżyciami. Z kryzysami spotykamy się zarówno w życiu osobistym jak i – co pokazuje ostatnia epidemia – w życiu społecznym. Tymczasem Ojciec mówi, że to właśnie w kryzysie zaczyna się duchowość. Co to znaczy?

Właśnie w trudnym doświadczeniu człowiek staje się prawdziwy i autentyczny. Jest wtedy odarty ze wszystkich masek, jest bezradny i jako taki zaczyna wołać o pomoc. Jeśli jest mi trudno, to mam szansę dotknąć takiego poziomu pokory, który pozwala mi otworzyć się na Kogoś, kto może wejść w moją niemoc i wyprowadzić mnie z niej – na Boga. Dopóki wszystko toczy się dobrze, człowiek radzi sobie sam; nieraz to doświadczenie samowystarczalności może okazać się złudne… Spada trwoga i do Boga. Gdy doświadcza się swojej słabości, serce otwiera się na Boga, wtedy On wchodzi w otwarte serce i dokonuje cudów. Można się o tym przekonać np. czytając Biblię i obserwując dzieje opisanych tam postaci.

Kogo Ojciec ma na myśli?

Myślę o wielu z nich, w tym chociażby o św. Pawle z Tarsu, który przez całe życie zmagał się z jakąś nieznaną nam trudnością. Mówił o niej: „dany mi został oścień dla ciała, wysłannik szatana, aby mnie policzkował” (2 Kor 12,7). Św. Paweł pisze dalej: „Dlatego trzykrotnie prosiłem Pana, aby [oścień] odszedł ode mnie, lecz [Pan] mi powiedział: «Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali»” (2 Kor 12,8). Możemy też spojrzeć na Stary Testament, na Jonasza, który zostaje połknięty przez wielką rybę. Wydaje się, że już gorzej być nie może, a tymczasem on właśnie

Boga

FOT. PIXABAY

wtedy po raz pierwszy mówi szczerze do Boga, właśnie z pozycji pochłoniętego przez kryzys. Wcześniej ucieka od Niego, nie chce przyjąć swojej misji, nie dostrzega Bożej obecności. Wszystko zaczyna się na nowo, gdy jest mu źle. Albo możemy spojrzeć na Hioba, który cierpi niewyobrażalnie i po ośmiu dniach wreszcie „pęka", a następnie wylewa przed Panem wszystko, co mu się nagromadziło przez dni cierpienia. To staje się momentem przełomowym, co doprowadza go do doświadczenia czegoś nowego. Dalej, Eliasz i jego słowa: „Zabierz moje życie, nie jestem lepszy od moich przodków" (1 Krl 19,4).

Różne są rodzaje kryzysów, ale dla każdego z nas podstawowym kryzysem jest ten wywołany przez osobisty grzech. Mam na myśli szczególnie doświadczenie skutków grzechu, a więc czegoś, co zabiera radość, siły do życia, wypełnia serce smutkiem i wstydem. Oczywiście można w tym doświadczeniu uparcie trwać, ale można też zwrócić się w pokorze do Pana Boga, odkryć przestrzeń w sercu dla Tego, którego się wcześniej lekceważyło.

Wiem, że Ojciec też ma takie właśnie doświadczenie spotkania z Bogiem, doświadczenie, które przyszło w kryzysie…

Jako młody człowiek nie byłem zainteresowany Panem Bogiem. Zajmowałem się wieloma rzeczami – grałem muzykę „punk rockową", ćwiczyłem karate, interesowałem się buddyzmem. Szukając szczęścia i radości, eksperymentowałem niemal ze wszystkim. I wtedy pojawił się problem – był to mój osobisty grzech, który do mnie przylgnął, który mnie policzkował i upokarzał. Oczywiście, wtedy nie nazywałem mojego problemu „grzechem", ale odczuwałem go w braku sensu mojego życia, w pustce, w czarnych myślach, w deprecjonowaniu siebie samego… Ponieważ było mi bardzo ciężko, powiedziałem o tym jednemu z moich przyjaciół. To był starszy ode mnie człowiek, karateka, niewierzący zresztą. On mnie wysłuchał i powiedział: „Wiesz co? To są trudne sprawy, jezuici umieją słuchać. Jedź do nich". Nieco później okazało się, że jezuici są w mieście, w którym mieszkałem, o czym nie wiedziałem. Poszedłem do nich i tam znowu miała miejsce ważna dla mnie rozmowa. Ksiądz, z którym rozmawiałem o swoim problemie, powiedział mi: „W Częstochowie prowadzimy takie dobre rekolekcje. Jedź na nie!". Pojechałem więc na nie do Częstochowy, praktycznie tak, jak stałem, z całym moim poplątanym życiem, bez wiary, bez sakramentów... Przez pierwsze dni bardzo się męczyłem. Wielokrotnie biłem się z myślami, czy by nie wrócić do siebie, ale zdecydowałem się zostać. I wreszcie czwartego dnia stało się coś bardzo ważnego – modląc się w kaplicy, przeżyłem wielki pokój, pokój którego świat dać nie może. Dla mnie to był znak, że Pan Bóg miłosierny nie stawia mi żadnych warunków. Doświadczyłem, że On wchodzi w mój życiowy bałagan i mówi: „Kocham cię. Nic się nie martw, poradzimy sobie razem".

I to był początek powrotu do wiary?

Początek był wtedy, gdy zacząłem wołać o pomoc, gdy zdecydowałem, że jadę na te rekolekcje, a więc poszukując rozwiązania problemu, wszedłem w kontekst katolicki, zwróciłem się w stronę Kościoła! W tamtym czasie, czułem, że pojawiło się we mnie zaufanie do przewodników, którzy mi pokazywali drogę.

To, co stało się potem w Częstochowie, to była kontynuacja już wcześniej podjętej drogi. To było spotkanie z Bogiem miłosiernym, który nie powiedział mi: „Wojtek, najpierw się ogarnij, a dopiero potem pogadamy", ale wszedł w moją biedę. Chcąc scharakteryzować ofiarę Chrystusa, używamy nieraz pojęcia „kenoza", czyli „uniżenie". Kenoza polega na tym, że Bóg schodzi na ziemię ze wszystkimi uwarunkowaniami, którym poddany jest rodzaj ludzki, staje się – jak mówi jeden z teologów – „trupem", by wyciągnąć człowieka z „bagna grzechu". Ja tego doświadczyłem – łaski, która przyszła, gdy byłem na dnie. O tym samym mówi św. Paweł: „Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficiej rozlała się łaska" (Rz 5,20).

Łaska rozlała się rzeczywiście obficie, bo przecież wkrótce podjął Ojciec decyzję o wstąpieniu do jezuitów…

Tak, to była łaska, która trwa do dziś. Można ją porównać do zakochania. Gdy się człowiek zakocha i gdy ma pewność, że to ta osoba, wtedy po prostu podejmuje się decyzję o byciu razem. Na rekolekcjach przeżyłem niezwykłe poruszenie serca. Skoro ono przyszło ▸

◂ w kontekście chrześcijańskim, w kontekście duchowości ignacjańskiej, to nad czym się miałem zastanawiać? Miałem wtedy 24 lata, ale ta przygoda trwa do dziś – jestem w zakonie już od 22 lat. I to jest jedna z najpiękniejszych rzeczy, którą Pan Bóg dla mnie przygotował. Mimo, że z mojej strony, jako zakonnik, nieraz okazywałem Panu niewierność i krnąbrność, grzesząc, to On nie zrezygnował ze mnie.

Jak się zachowywać, gdy jesteśmy w kryzysie?

Jeden z ważniejszych kroków to powierzyć swoje sprawy komuś, komu się ufa. Ja tak właśnie zrobiłem – opowiedziałem o sobie mojemu przyjacielowi. To było pewne zakwestionowanie siebie, swoich planów i wizji, które jak widać zawiodły mnie na manowce. To było wyjście na zewnątrz, ku komuś innemu. Trzeba pamiętać, że Pan Bóg posługuje się ludźmi.

Bardzo ważna jest także ufność. Bóg chce nam pomóc, ale potrzebuje naszej ufności. Gdy wołamy, On przychodzi. Gdy było mi bardzo, bardzo ciężko, wołałem do Boga i On mi odpowiadał przez wydarzenia, które po sobie następowały i słowa osób, do których się zwracałem. Razem z Nim rozpocząłem drogę wyplątywania się ze wszystkich grzechów.

Św. Ignacy Loyola, założyciel jezuitów, podał wiele wskazówek na czas kryzysu. Jakie to są wskazówki?

O tym, żeby powiedzieć o swoim stanie komuś, już mówiłem… Bardzo ważne jest to, by w czasie kryzysu nie zmieniać decyzji przed kryzysem podjętej. Gdy jest nam trudno, szarpiemy się, szukamy dróg wyjścia, jesteśmy skłonni, by kwestionować nasze postanowienia sprzed kryzysu. Nie należy tego robić. Gdy toniemy, nie pomoże nam, że zaczniemy się nerwowo szarpać. W jednej ze swoich książek benedyktyn o. Anselm Grun pisze: „Przestań siebie ratować, gdy się coś wali. Odpuść". To nie znaczy: „Bądź bierny", ale „Nie panikuj, nie histeryzuj, nie katuj siebie złymi myślami, nie uderzaj w Pana Boga, mówiąc, że to On cię katuje".

W trudnym czasie kryzysu każdy radzi sobie najlepiej, jak potrafi. Aby przejść przez kryzys, nieoceniony staje się sakrament pojednania. To wyciągnięta ręka Pana Boga, to kotwica rzucona w stronę człowieka. Trzeba z niej skorzystać.

Jakie są duchowe owoce kryzysu?

Tym owocem jest bardziej świadome i głębsze przyjęcie siebie takiego, jakim się jest, a więc miłość do siebie, a tym samym do innych. Kryzys uczy miłosierdzia. Kryzys nas demaskuje, pokazuje naszą „pseudoświetność", pokazuje, jak traktujemy siebie i innych. Jest to czas prawdy, który równocześnie otwiera nas na Boga na głębszym poziomie. Mistycy podkreślali, że należy pozwolić trudnym doświadczeniom, by nas wewnętrznie przemieniały – by Bóg za ich pośrednictwem nas przemieniał. Kryzys jest szansą, by zedrzeć z naszych serc „rdzę". Trzeba się na to zgodzić, by dotrzeć gdzieś głębiej. I wtedy pojawia się pragnienie pójścia za Panem, już nie w deklaracjach, ale w rzeczywistości.

Św. Paweł pisze: „nieszczęsny ja człowiek" (Rz 7,24). Dlaczego nieszczęsny? Bo światło łaski pokazało mu, jaki jest naprawdę. Dzięki kryzysowi mamy szansę, by zobaczyć naszą biedę i naszą dwuznaczność i powiedzieć: „Panie, Ty mnie nawróć, bo dopiero teraz widzę, na co mnie stać". Mamy zobaczyć nasze pogaństwo. W kryzysie mówimy: „Panie nawróć mnie", bo wtedy widzimy swoją nędzę i to, na co nas stać.

A jak można pomóc komuś, kto przeżywa kryzys?

Myślę, że przede wszystkim swoją obecnością. Słów, które nierzadko banalizują sytuację, którą ktoś przeżywa, nie potrzebuje nikt, bo to tylko złości, doprowadza wręcz do pasji osobę, która cierpi. Dobrze ukazuje to biblijna historia Hioba, którego w cierpieniu pouczali koledzy… Autentyczna przyjacielska obecność obok tego, kto cierpi, mówi więcej niż słowo.

Potrzebujemy kryzysów?

Tak, żeby się nawrócić. Kryzys jest szansą na głębsze doświadczenie Pana Boga i odkrycie tego, o co chodzi w chrześcijaństwie. A o co chodzi w chrześcijaństwie? *Jeśli ktoś chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje* (Mt 16,24). ▪

FOT. ISTOCK